

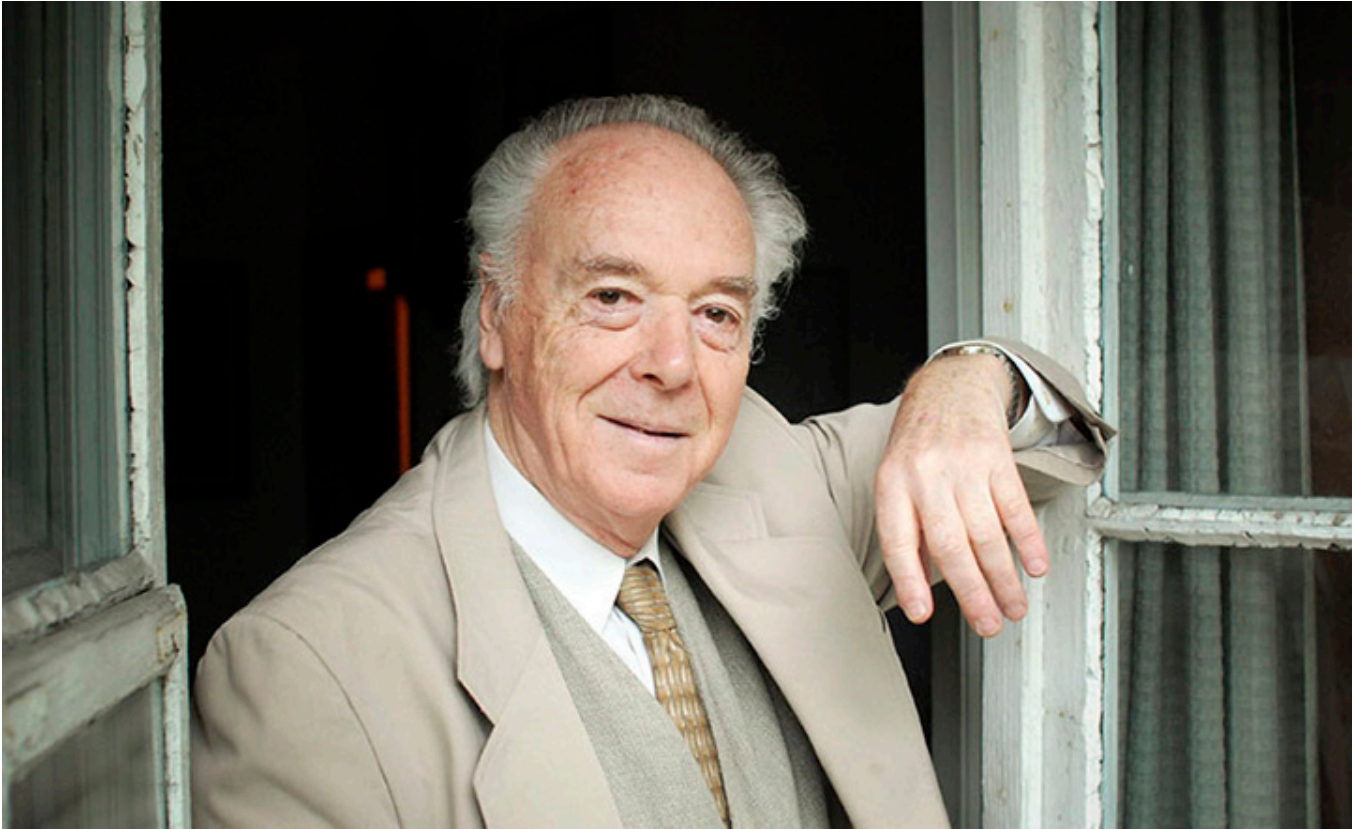
„Duch Atlantydy”

Jarosława Abramowa-

Newerlego jako

odtrutka

na stereotypy



Jarosław Abramow Newerly w swoim mieszkaniu, 16.05.2007 r., Warszawa, fot. Włodzimierz Wasyluk

Ewa Bagłaj (*Polska*)

O polskich akcentach w teatrze kanadyjskim pisał w 1987 r. Adam Tomaszewski (Adam Tomaszewski, *Ze sceny i estrady*, Toronto 1987). Długo jednak nie powstał dramat w języku polskim, dający obraz Kraju Klonowego Liścia z perspektywy naszej emigracji. Dopiero *Duch Atlantydy* (1994) Jarosława Abramowa-Newerlego wypełnił tę lukę.

„Dlaczego tak późno? Odpowiedź najprostszą z możliwych: zabrakło talentów i gdyby przypadek sprowadził Gombrowicza nie do Argentyny, do Buenos Aires, ale do Toronto, Montrealu czy Ottawy wynik może byłby podobny. „Gdybanie” takie ma

jednak tę wadę, że właśnie pomija specyfikę miejsca i okoliczności, w jakich przyszło tu żyć Polakom, pisarzom polskim, których na gruncie kanadyjskim spotkała przygoda trudno porównywalna z losem innych emigrantów. Nie jest sprawą tylko talentu, choć z pewnością jest to czynnik niebagatelny, ale przede wszystkim biografii, że szansa jaką dla twórczości stanowił kraj wielokulturowy, kraj dialogu, ojczyzna „dożywotnich emigrantów”, wedle dowcipnego określenia Marka Kusiby, otworzyła się tak późno. Ale jednak się otworzyła”. (Jerzy Święch, *Pomyślane przelotem...*, s. 36).

Co ciekawe, wątek kanadyjski pojawił się w twórczości Jarosława Abramowa-Newerlego na długo wcześniej, nim pisarz zaczął myśleć o emigracji. Dwadzieścia lat przed swoim wyjazdem w sztuce pt. *Derby w pałacu* wyrzuconemu ze swej posiadłości hrabiemu Dembopolskiemu kazał osiedlić się w stolicy prowincji Ontario.

Pamiętam, jak błędziłem palcem po mapie Kanady, w której nigdy nie byłem, wahając się między paroma miastami. Najpierw chciałem dać Winnipeg, ale w końcu zwyciężyło Toronto dzięki dźwięczniejszej nazwie (...) później (...) właśnie w tym Toronto wylądowałem. I tak jak mój hrabia w *Derbach w pałacu* poznałem los emigranta. (Jarosław Abramow-Newerly, „*Granica sokoła...*”, s. 13).

Los ten poznał nie tylko z autopsji. Bowiem materiał dla sztuki odnalazł on, podobnie jak w omawianych wcześniej książkach *Kładka przez Atlantyk* i *Pan Zdzich w Kanadzie*, pośród „samyh swoich”. Akcja rozgrywa się w polskiej dzielnicy Toronto, na ulicy Roncesvalles, którą mieszkańcy nazywają żartobliwie Rączymi Wałami lub Rączą Wólką.

Na każdego z moich bohaterów składa się co najmniej kilkanaście prototypów-autentyków, których kiedyś spotkałem. Oczywiście wszystkich odpowiednio przemieszałem, z każdego coś biorąc, z siebie również. Musiałem spędzić w Kanadzie osiem lat, wiele samemu zrozumieć, zobaczyć i poznać, aby ten inny świat opisać. (...) Podobnie jak w moich kanadyjskich opowieściach o panu Zdzichu, starałem się zachować wierność faktom. Wprowadziłem wiele autentycznych nazw i nazwisk (...). (Tamże).

Bohaterowie to ludzie różnych narodowości. Większość reprezentuje Polonię, ale jest też Włoch, Indianin, Chińczyk, Żyd i Ukraińiec.

Chcąc przedstawić barwną mozaikę, jaką jest to miasto, kazałem niektórym postaciom mówić w ich ojczystym języku,

licząc, że taka »chińszczyzna« wytrzyma próbę sceny. Teatr to nie tylko słowo, ale również gest, dźwięk, rekwizyt, obraz – wszystko to, co tworzy magię sceny. (Tamże).

O tym, jak wielką wagę przywiązuje autor do scenografii świadczą zaskakujące rekwizyty w poprzednich jego sztukach – konie w pałacu, kukły na dworcu, namiot w łaźni, szpital w ogrodzie czy ogromna szafa zamiast drzwi.

Taka sceneria potrzebna mi była nie dla absurdu zawieszonego w uniwersalnej próżni, ale dla stężenia rzeczywistości. Niecodziennym podkreślałem codzienność. (Tamże).

Odpowiednikiem szafy, z której w *Klik-klaku* wyłaniają się kolejni mężowie Kornelii jest w *Duchu Atlantydy* dawna „buczernia” (sklep mięsny, ang. *butcher* – rzeźnik), a potem magazyn, który bohaterowie przerabiają na Wielokulturowe Centrum Sztuki „Remstar”. Przygotowania do hucznego otwarcia są okazją do spotkań przedstawicieli starej i nowej emigracji zaangażowanych w przedsięwzięcie, którego celem jest „promieniować na inne mniejszości, z których składa się Kanada”. (Tamże, s. 14).

Kontakty między nimi stają się „smutną komedią omyłek,

wzajemnym licytowaniem się w cierpieniach i jakże marnych radościach, klęskach i sukcesach” (Jerzy Świąch, op. cit, s. 35), co ma odzwierciedlać stosunki panujące w społeczności Rączych Wałów. Abramow-Newerly nieustannie, choć jak gdyby mimochodem porównuje te dwie emigracje: wcześniejszą prawdziwą, bo „z ducha” z tą ostatnią, która jest nią tylko z nazwy. Młodych łączy wspólna cecha – sprowadziła ich do Kraju Klonowego Liścia wizja Eldorado, chęć zrobienia błyskotliwej kariery na tej ziemi obiecanej. Od nowa powtarzają lekcję, którą starsze pokolenie ma już za sobą. Jak każda kolejna fala emigracji muszą zdobyć doświadczenie na własnej skórze. Pytanie tylko, o co ci nowi, liczący przede wszystkim na życiowy fart, wzbogacą dorobek swych poprzedników? Bowiem w ocenie tych ostatnich wyglądają raczej blado:

„Te nowe po SOLIDARITY na łatwy chleb idą. Nie chce im się tyrać jak nam (...) Chytre są” (Jarosław Abramow-Newerly, *Duch Atlantydy..*, s. 1) – to głos Józefa Rydla. (Skojarzenie z dramatem Wyspiańskiego nie jest przypadkowe. *Duch Atlantydy*, wzorem innych sztuk Abramowa-Newerlego, odsyła do klasyki dawnej (*Dziady*, *Wesele*) oraz nowszej (*Miazga*, *Transatlantyk*, *Ślub*).

Należy on do trzeciego pokolenia osadników; jego pradziad karczował kanadyjską puszcę. Weteran bitwy pod Monte Cassino, ciężką pracą doszedł do obecnego majątku – jest właścicielem sieci sklepów wędliniarskich „Baca Delicatessen”.

Zna cenę, jaką trzeba zapłacić za powodzenie w życiu i ma prawo czuć się pełnoprawnym obywatelem wielokulturowej, zasobnej Kanady, która takim jak on zawdzięcza swoje dzisiejsze oblicze. Do Rydla należy lokal, w którym ma powstać galeria sztuki nowoczesnej. Wynajmuje go polonijnym artystom nieodpłatnie, kierowany żywym sentymentem do kraju przodków. „Remstar Center” ma pomóc uganiającym się za pracą i zyskiem rodakom odzyskać równowagę między przyziemnymi interesami a duchowością:

(...) musimy to zrobić dla siebie, żeby do reszty nie zbaranieć. (...) Pytasz, kto przyjdzie. My. My przyjdziemy. Do siebie. Wrócimy do normy, oderwiemy się od posadki-posadzki (...) za młotek i przerabiamy tę kielbasiarnię. To nasza ostatnia szansa. (Tamże, s. 11).

W ten sposób główny inicjator przedsięwzięcia, artysta plastyk Rem, przypomina Kubie, „lingwiście-komparatyście”, jakie ideały przywiodły ich wszystkich do Kanady. To pragnienie odnalezienia własnego rajy pchnęło ich za ocean. Dla doktora lingwistyki porównawczej jest nim „własna wieża Babel. Wszystkie języki świata”, które studiuje... w chwilach wolnych od pracy przy czyszczeniu szpitalnych podłóg. W Polsce nic nie stało na przeszkodzie rozwojowi jego kariery naukowej, zarabiał dodatkowo jako autor tekstów popularnych piosenek. Nie

wyjechał więc z konieczności czy istotnej potrzeby, jak czynili to wcześniej uchodźcy polityczni. Raczej „ucieka od siebie, chce spalić mosty nie z krajem, lecz z ludźmi, z którymi nie potrafił żyć dalej”. (Jerzy Świąch, op. cit, s. 35).

Teorie, którymi uzasadnia swoją emigrację, pokazują go jako ofiarę własnych złudzeń. Kiedy otwiera się przed Julią, młodą aktorką o wysokich aspiracjach zawodowych, mówi o swej wierze w „Remstar” i Remigiusza. Chce, by to centrum odegrało w Kanadzie podobną rolę jak „Kultura” Giedroycia w Europie Zachodniej.

Daję mu szansę. Nawet w tym sklepie. Jeśli nie wielokulturowość i przenikanie, to co? (...) Rzeź? Kolejna jatka? Kocioł bałkański już wrze. (*Duch Atlantydy*, s. 35).

Dziewczyna jednak domyśla się prawdy, z której on sam może nie do końca zdaje sobie sprawę:

Albo zwiąłeś od siebie, albo od żony i udajesz błędnego rycerza. Nowego Don Kichota. Wymachujesz „Kulturą” i wpierasz we mnie, że ty to oni. Rzniesz dziedzica. Oni mieli swój cel, a ty słowniczek, wieżę Babel. NO, MY DEAR. AMERICAN DREAM cię zżera. Ja chcę być gwiazdą, ty nią

byłeś, ale liczysz na więcej, a Remstar buduje kosmodrom i właśnie ma zamiar odpalić. Taka jest prawda. Nieco upierdliwa, ale uczciwa. Innej nie ma. (Tamże, s. 40).

Julia wie o tym, bo sama - mając w Polsce angaż w najlepszym teatrze - zaryzykowała próbę wybicia się za oceanem. Tymczasem kariera gwiazdy filmowej, o jakiej marzy, oddala się coraz bardziej. Póki co, utalentowana artystka zarabia w reklamówkach, wbita w kostium gąski z wielkim brzuchem-atrapą. Skromna klitka, którą wynajmuje przy dawnej „buczerni” też ma się nijak do amerykańskich standardów. Dlatego Julia nie chodzi na przedstawienia do Jane Mailet Theatre - teatru w centrum Toronto, wynajmowanego na gościnne występy bardziej reprezentacyjnych zespołów przyjeżdżających z Polski.

Rozleciałabym się. A i przed kolegami wstyd. Julia. (*gest fruwanía*) Nie z Szekspira. APARTMENT też niezbyt. Jak na Kanadę. (Tamże, s. 47).

Swój „amerykański sen” od dawna próbuje realizować Remigiusz, a zakładana galeria ma pomóc mu wreszcie zabłysnąć. Przecież po to tu przyjechał.

Muszę być naj, naj. Wspiąć się na sam szczyt. (Tamże, s. 20).

W nieustannych sprzeczkach z żoną, której w nowej ojczyźnie powodzi się znakomicie, odkąd uzyskała doktorat i otworzyła prywatny gabinet stomatologiczny, wypływa ten sam problem. Ona zarzuca mu, że nie umie przestawić się na rodzaj twórczości, który tu się podoba. Dlatego zamiast błyszczeć, od dziesięciu lat jest na dnie. On wzbrania się przed pójściem na komercję, zarzuca Tamarze zaślepienie dolarami:

Ona tylko tym mierzy wielkość. (*gest liczenia pieniędzy*) Byle się sprzedawało. A ja nie chcę! Nie zrobisz ze mnie straganiarza! (Tamże, s. 21).

Tamara interpretuje jego rozgoryczenie po swojemu. Odcina się:

A widzisz, jak to miło. Być dodatkiem. Teraz ty jesteś mężem dentystki. Role się odwróciły na tym kontynencie. (Tamże, s. 18).

Skarży się Kubie:

On mógł mieć w pracowni modelki, a ja nie mogę mieć w OFISIE nawet kolegi od leczenia przewodowego, bo już krzyk! Taki ścisły nadzór był dobry w PRL, ale nie tu! Tu wolny kraj, kochany! Kobiety są INDEPENDENT. (Tamże).

W rozmowach większość z kilkunastu (aż) postaci dramatu obnaża pustkę, z którą sobie nie radzi. Obiecująca z polskiej perspektywy Kanada, po drugiej stronie Atlantyku okazała się trudnym wyzwaniem. Testem na wytrzymałość w nowych warunkach życia:

Kanada to sprawdzian. Nikogo nie obchodzi, kim byłeś. Tu jesteś nikim. (...) Musisz zmartwychwstać. Urodzić się po czasie. (Tamże, s. 10).

Szukając swego miejsca w Kraju Klonowego Liścia, bohaterowie przymierzają się wciąż do nowych ról. Powiada Kuba:

Wszyscy jesteśmy kameleony. Nie wiemy, w jaką skórę wejść. (Tamże, s. 51).

A reprezentacyjna, zawsze modnie ubrana i uczesana Tamara,

stwierdza:

Tu bez formy ani rusz. CHEESE (*szczyrzy zęby w uśmiechu*)
To ułatwia życie. (Tamże, s. 25).

Ten obowiązkowy *good looking*, którego esencją jest wieczny uśmiech jak gdyby przyklejony do ust, choć wymaga nieustannej czujności, bardzo ułatwia życie. „Nikt duszy nie wybebesza”. (Tamże, s. 51).

Tymczasem każdy z bohaterów nosi w sobie jakąś tajemnicę. Za fasadą samozadowolenia kryją się w ich duszach upiory przeszłości. Przechowane w pamięci, przewieźli je wbrew własnej woli na drugi brzeg oceanu. Bo nie da się uciec od samego siebie. Przekonują się o tym w noc Halloween, kiedy to – paradoksalnie – zostaną zmuszeni do zrzucenia masek. Wyzwolone z ich wnętrza upiory zmieniają te niby Zaduszki w torontońskie *Dziady* i *Wesele* zarazem. Lady Simpson, główna fundatorka Centrum Kultury, zaproszona na happening z okazji jego otwarcia, nieoczekiwanie odkrywa przed Kubą twarz jego dawnej kochanki z Polski, Róży. Okazuje się, że nie udało mu się spalić za sobą mostów. Dawna „dziewczyna z majowym bzem”, jak określił ją w słowach piosenki, również wyjechała za granicę. By zapomnieć o aborcji, do której niegdyś ją nakłonił. O tym, że Kuba mieszka w Toronto, dowiedziała się przypadkiem.

Uświadomiłeś mi, że nie da się... (*gest odcięcia*) Coś zostaje. Nawet jak się wyrwie z siebie wszystko. Dosłownie i w przenośni. (...) Zrozumiałam, że coś zostało. Nie pomogły oceany i kontynenty. (Tamże, s. 110).

Wszystko bowiem się na tym świecie łączy. Dokładnie tak, jak w przygotowanym na otwarcie *show*, gdzie w odrealnionym chocholim korowodzie podążają: Ksiądz, Młoda Para, mężczyzna z wózkiem dziecięcym i Sekretarz z Szoferem niosący na barkach trumnę. Marsz weselny miesza się z pogrzebowym, a bohaterowie spektaklu skandują w różnych językach: „Zaślubiny! Narodziny! Śmierć!”

Tytuł dramatu autor świadomie skojarzył z duchem Jałty, do czego przyznaje się w *Słowie od autora*:

Zauważyłem, że wciąż się snuje dopadając nas w różnych miejscach. Mnie nawiedzał i w Toronto i w San Diego. Tutaj, na tym kontynencie zrozumiałem, że nigdy się od niego nie uwolnię.

Rozumie to również Kuba, któremu ukazał się najpierw duch Stalina, a potem Stalina z Churchilem. Obaj palili fajki i z

uśmiechem „trzymali się przyjaźnie za ręce”.

Gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie Toronto, a duch straszy. I Atlantyck nie pomógł. (...)

Bo wszystko się wiąże, o, tak! (*splata ręce jak haki*) Tak, rozumiesz? Nawet jak nam się zdaje, że dawno pogrzebane na dnie oceanu (*podchodzi do pnia i uderza siekierą*). Tylko w rzeźni można coś odciąć. Na amen. W życiu tak nie ma. Niestety. (Tamże, s. 95 i 146).

Słucha tego Julia, która później zrywa męczący i nie dający jej poczucia bezpieczeństwa związek z żonatym Carlem, reżyserem reklamówek. Decyduje się wracać do Polski. Bo Kanada nie zapewni nikomu tego, czego nie potrafi on osiągnąć we własnym kraju, nie wyleczy z kompleksów ani nie rozwiąże zaległych problemów.

Duch Atlantydy, podobnie jak dramat Wyspiańskiego, kończy się patem. W dniu uroczystego otwarcia centrum, dopracowanego w najdrobniejszych szczegółach, organizatorzy uświadamiają sobie z przerażeniem, że nikt nie przyjdzie, bo... w tym czasie hokeiści grają o mistrzostwo Kanady.

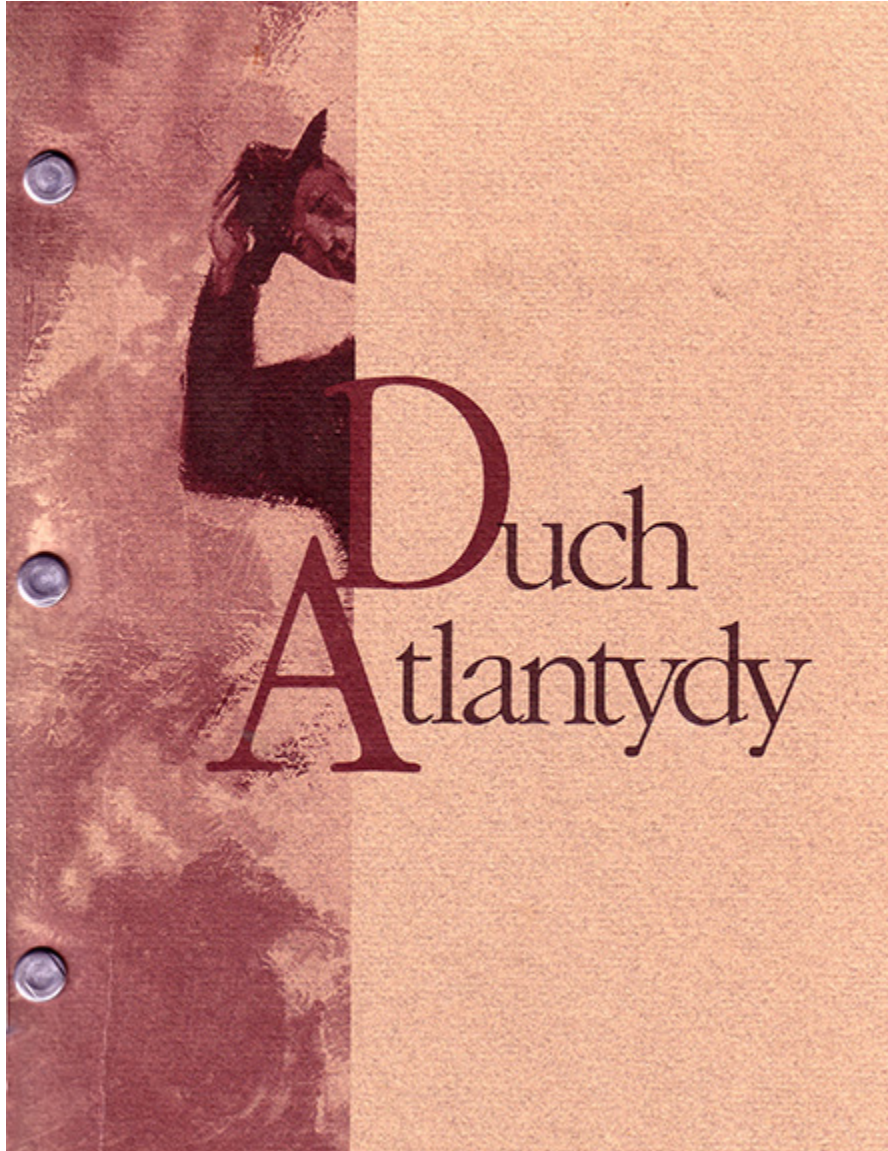
Okazuje się, że tylko tradycję kiszonych ogórków i kiełbasy da się zachować. Trzeba będzie znów otwierać BUCZERNIĘ - stwierdza z rezygnacją Kuba. (Tamże, s. 152).

Sytuacja wraca więc do punktu wyjścia. Ale czy na pewno nic się nie zmieniło? „My przyjdziemy. Do siebie” - obiecywał Rem. A teraz Rydel, któremu do tej pory posługiwanie się mową ojców przysparzało wiele trudności, poprawia językoznawcę nieskazitelną polszczyzną:

Sklep mięsny, chciał pan powiedzieć. Wędliniarnię. Po polsku „Delikatesy Baca”. (Tamże).

Dzieło Jarosława Abramowa-Newerlego to odtrutka na stereotypy. Choć umieszczenie akcji w konkretnym zakątku Toronto sugestywnie oddaje koloryt lokalny miejsca, nie obraz dzielnicy jest tu celem numer jeden. Sceneria kanadyjskiej metropolii pomaga uzyskać prawdę i realizm przedstawionego świata. Tak jak w innych swoich utworach, wzorem Wańkowicza pisarz stawia w centrum zainteresowania to, co polskie. Wartość *Ducha Atlantydy* tkwi przede wszystkim, jak zauważa Jerzy Świąch, w kataraktycznej funkcji, która polega na „wyzwoleniu się z okowów polskości, jak - *sit comparare licet* - w

Transatlantyku Gombrowicza". (Jerzy Świąch, op. cit, s. 36).



Jarosław Abramow-Newerly, Duch Atlantydy, sztuka w dwóch częściach, Teatr Polskiego Radia, premiera 28 października 2005 r., reż Waldemar Modestowicz, wystąpili m.in. Zbigniew

Zamachowski i Wiesław Michnikowski.

Szelma wdowa

Jarosław Abramow-Newerly (*Toronto*)



Jarosław Abramow-Newerly, fot. arch. autora

Fragment niepublikowanej nowej książki Jarosława Abramowa-Newerly'ego „Ich lwi pazur”.

Po przeniesieniu się z Poznania do Warszawy Włodek z rodziną

zamieszkał na Muranowie w małym mieszkanku na Nowolipkach. Jego żona Janina, zwana Inką, nie pracowała i zajmowała się domem. Mieli małą, trzyletnią córeczką Kasię, na którą wołali Katka. Katka była śliczną blondyneczką o zadartym nosku trochę podobna do Włodka. Bardzo mi się podobała i żartowałem, że jak dorośnie to się z nią ożenię. Katka wzięła to bardzo serio, a jak Włodek ze mną przychodził to od progu wołał: - Inka! Zięć przyszedł. Zaparz nam herbaty! Włodek uwielbiał Katkę. Pragnął mieć więcej dzieci, ale Inka nie chciała o tym słyszeć. Ledwie zgodziła się na to jedno. Włodek bardzo nad tym bolał. Inka pochodziła z zamożnej rodziny Bystrzyckich, jej ojciec po wojnie był tak zwaną prywatną inicjatywą i zajmował się w swojej willi w Poznaniu hodowlą pieczarek. Nie był specjalnie zachwycony, że jego młodsza córka wyszła za mąż za chudego literata. Przyjął to jednak do wiadomości. Ambitny i dumny Włodek znając wymagania teścia tym bardziej chciał mu pokazać, że nie jest takim chudym literatem jak on myśli i potrafi swojej rodzinie zapewnić godziwy byt. Inka miała jeszcze starszą siostrę Renię i młodszego brata Bolka. Ich matka była z arystokratycznego rodu hrabiów Sczanieckich, tych samych, co słynna hrabina Emilia Sczaniecka herbu Ossoria, która niosła pomoc rannym żołnierzom w czasie powstania listopadowego. Ten zasłużony ród pochodził z miasteczka Sczaniec w Wielkopolsce. Włodekowi bardzo imponowało to pochodzenie i z dumą podkreślał nazwisko: - Hrabina Sczaniecka nie Szczaniecka, czowieku, ze Szczańca nie Szczaćca. Tym razem

dykcję miał bezbłędną i zniknęła wymowa poznańska z której tak kpiłem. Inka nudziła się będąc sama w domu i jak przychodziliśmy to z ciekawością wypytywała mnie co nowego w radio i tak zwanym środowisku. Być żoną pisarza to nie jest łatwy kawałek chleba. Nie dziwiłem się jej. Była młodą, ostrą brunetką o kocim spojrzeniu szarych oczu i spragniona była towarzystwa, a Włodek prowadził bardzo monotony tryb życia. Rano wychodził do pracy, a jak wracał to zjadał kolację i zasiadał do pisania. Pisał do późna w nocy. Już wtedy miał imponujący dorobek literacki. Wydał świeżo „Kwarantannę”, a wcześniej „Białe lato” i „Miejsca nawiedzone”. Teraz był w trakcie pisania powieści „Zmierzch świata”. Był laureatem prestiżowej nagrody młodych imienia Tadeusza Borowskiego. Borowski autor wstrząsających opowiadań oświęcimskich „Pożegnanie z Marią” i „Proszę państwa do gazu” zmarł śmiercią samobójczą w 1951 roku. Myślę, że ta prestiżowa nagroda jego imienia pomogła Włódkowi w przeniesieniu się do Warszawy i otrzymaniu posady w radio.

Często do Odojewskich przyjeżdżała z Poznania siostrzennica Inki Hania, córka Reni z pierwszego małżeństwa. Renia miała chyba oprócz ojca Hani bodajże jeszcze dwóch mężów. Hania była wtedy piętnastoletnią dziewczyną dość ładną o trochę pucołowatej twarzy. Jak Włódkowie wyszli do kuchni, a Katka już spała i zostaliśmy sami, Hania wyraźnie zaczęła mnie uwodzić. Zbliżyła się do mnie blisko twarzą, patrzyła wyzywająco

w oczy i wyraźnie czekała, żebym ją pocałował. Na szczęście z tej kłopotliwej sytuacji wybawił mnie Włodek, który wszedł do pokoju. Obydwoje Odojewscy bardzo lubili Hanię, a Włodek jej trochę ojcował. Znali ją od dziecka.

Włodek bardzo przeżył wydarzenia poznańskie w czerwcu 1956 roku. Pracował wtedy jako dziennikarz i był na miejscu wypadków. – W prosektorium widziałem zwały trupów, kochany. Pomordowanych robotników z Zakładów Cegielskiego i zwykłych przechodniów. Leżeli w wannach w formalinie. Przerażający widok. Władze to wszystko ukrywały. Robiłem na gorąco notatki, bo chciałem to kiedyś opisać. Te notatki mam w swoim archiwum – mówił. W geście protestu wystąpił z partii w 1957 roku, za co wyrzucono go z pracy w „Tygodniku Zachodnim”.

Wszystkie świeżo napisane rozdziały najpierw dawał do przeczytania Ince, z której zdaniem bardzo się liczył. Ona była pierwszą czytelniczką i jeżeli coś jej się nie podobało to Włodek zmieniał i poprawiał. Fragmenty swojej prozy drukował w tygodniku „Współczesność”, z którym był związany. Miał tam wielu kolegów i przyjaciół, którzy odwiedzali nasz redakcyjny pokój. Mnie bardzo podobały się rozdziały „Kwarantanny”, które dał mi do przeczytania. Miałem tylko jedną uwagę. Namawiałem go, żeby bardziej konkretnie umiejscawiał akcję powieści. Dotyczyło to głównie nazw miejscowości. Żeby było wiadomo

gdzie to się dzieje, a nie wszędzie czyli nigdzie. Chodziło o opis naszych Kresów. Włodek trochę ze względu na cenzurę odrealniał ten tekst, ale teraz powiedział, że pójdzie na całego. No i poszedł.

Raz na tydzień odbywały się u dyrektor Aliny Szenwaldowej kolegia, na które zapraszani byli kierownicy wszystkich redakcji literackich. A było ich naprawdę wiele. Nasze redakcje słuchowiskowe, redakcja adaptacji radiowych, redakcja prozy, redakcja poetycka, redakcja reportażu dźwiękowego i literackiego, redakcja „W Jezioranach”, nowej powieści radiowej rozgrywającej się na wsi, wreszcie redakcja satyry i humoru. Ta ostatnia mieściła się na drugim piętrze i zatrudnionych w niej było wielu znakomitych humorystów i satyryków, dość, że wymienię twórcę radiowego kabaretu „Szpak” , opiekuna naszego studenckiego teatru STS, Zenona Wiktorczyka, znanego powszechnie z popularnej audycji „Podwieczorek przy mikrofonie”, Jeremiego Przyborę, Ludwika Górskiego, Henryka Bardijewskiego i wielu innych. Radio na Myśliwieckiej to było wtedy imperium, które szczyliło się swoją artystyczną odrębnością i śmiało konkurowało z radiem przy ulicy Malczewskiego, w którym urzędowali prezesi Radiokomitetu i był tam dział publicystyczny, zwany realizacją. A Alina Szenwaldowa była w tym imperium żelazną damą, która twardo rządziła tu od wielu lat. Była przedwojenną ideową komunistką, żoną bohaterskiego poety żołnierza Lucjana Szenwalda

poległego na froncie

w 1944 roku. Jego imienia były szkoły i ulice w Polsce. Myślę, że właśnie złośliwcy z redakcji satyry i humoru ukuli o niej nazwę Szelma Wdowa.

Szenwaldowa była wtedy kobietą po pięćdziesiątce, bardzo wysoką i potężnie zbudowaną. Do jej gabinetu na naszym pierwszym piętrze wchodziło się przez sekretariat, w którym urzędowała wierna sekretarka młoda i ładna Lusja Abolnikow. Alina Szenwaldowa z racji swojej funkcji bardzo dużo czytała i interesowała się młodymi pisarzami, których chciała za wszelką cenę przyciągnąć do radia. Była krótkowidzem i jak czytała tekst to przykładła go blisko oczu. Bardzo nas młodych lubiła i w gabinecie odkładając tekst od oczu przyjaźnie witała: - I co nowego, chłopcy? Mówcie śmiało - pytała. Starła się być dla nas dobrotliwą ciocią i wiele spraw mogliśmy z nią załatwić. To ona, zaraz po moim przyjściu do pracy, namawiała mnie, żebym zrobił coś takiego jak w STS-ie. Za jej zachętą przestawiłem istniejącą już audycję Radiowy Teatrzyk Miniatur „Zwierciadło” na te esteesowskie tory. Tylko zamiast humorystycznych skeczów nadawałem miniatury literackie poprzedzielane piosenkami. Zamawiałem je u kolegów młodych pisarzy. Do „Zwierciadła” pisali teksty Janusz Krasiński, Ireneusz Iredyński, Marek Nowakowski, Andrzej Krzysztof Wróblewski i wielu innych. Pisali chętnie bo dopingował ich bodziec finansowy. Świetnie i szybko wypłacałem honorarium,

które wносиło wtedy za każdą miniaturę 300 złotych. Zaraz po nadaniu audycji szli z kwitem do radiowej kasy przy ulicy Noakowskiego i pobierali pieniądze.



Włodzimierz Odojewski, 1955 r., fot. arch. W. Odojewskiego

Teksty piosenek do „Zwierciadła” pisali Agnieszka Osiecka, Edward Fiszer, Jerzy Sułkowski, Włodzimierz Słobodnik, muzykę zaś do niej komponowali moi przyjaciele z STS-u Marek Lusztig i

Edward Pałasz. W „Zwierciadle” debiutował w radio młodziutki Wojciech Młynarski. Jego piosenkę napisaną wspólnie z kuzynem Romanem Orłowem przyniosła do mnie do redakcji jego mama – Magdalena Młynarska, która występowała w radio w audycjach dla dzieci razem z moją Mamą. Również znana później kompozytorka Katarzyna Gaertner pierwszą swoją piosenkę nagrała w „Zwierciadle”. Na tych kolegiach u Aliny Szenwaldowej zatwierdzano plany poszczególnych redakcji. Każdy kierownik redakcji mówił co zamierza zrobić, a Alina Szenwaldowa na ogół dość łatwo to akceptowała. Często namawiała nas na zrobienie adaptacji książek, które przeczytała lub próbowała wprowadzić do radia pisarzy popieranych przez władze.

Kiedy wymieniała nazwisko takiego ulubieńca reżimu Włodek nie wytrzymał i wykrzykiwał: – Ależ to potworny grafoman, pani Alino! Nie da się go czytać. – Ja wiem, panie Włodku, ale może można by było go jakoś przerobić. Dobrze by było bowiem dla radia żeby zaistniał na antenie – dawała lekko do zrozumienia, że ją z góry naciska o to kierownictwo.

Włodek nie krył swoich przekonań i niezależnej postawy. Czasem wybuchał zbyt szczerze tak, że ja go hamowałem. Pamiętam raz na takim kolegium Alina Szenwaldowa zaczęła narzekać na kolejki w aptekach i w sklepach. – To nie do wytrzymania! – użalała się. Włodek jej przerwał i wypalił: – To wy komuniści wprowadziliście w 1949 roku tak zwaną bitwę o handel.

Przedtem kolejek nie było i nie „czeba” było rzucać towaru do sklepów. To pani towarzysze tak nas urządzili. Do nich niech pani ma pretensje, pani Alino! – stwierdził.

W duchu zadrzałem i czekałem co będzie dalej. Ale Alina Szenwaldowa dobrotliwie uśmiechnęła się i polubownie powiedziała: – Już dobrze, panie Włodku. Nie mówmy o handlu. Jakie słuchowiska pan ostatnio nagrał? – zmieniła temat. Miała dobry gust literacki i ceniła bardzo Włodka jako wybitnego pisarza i świetnego redaktora, który w krótkim czasie rozwinął dział słuchowiskowy do niebywałych rozmiarów. Zaczęto mówić o polskiej szkole słuchowiska radiowego. Do pisania słuchowisk Włodek zachęcał pisarzy z całego kraju. Dbał o tych, którzy byli w biedzie i potrzebowali finansowego wsparcia. Na przykład bardzo cenił Stanisława Swena Czachorowskiego, trudnego awangardowego poetę. Pamiętam poszliśmy raz z Włodkiem do Swena do domu. Mieszkał w jakiejś suterenie w śródmieściu z żoną plastyczką, która wyrabiała gliniane figurki i z tego się utrzymywali. Parę takich figurek podarowała mi na pamiątkę. Sam Swen był wtedy chory i leżał w łóżku. Zrobił na mnie miłe wrażenie wrażliwego i niezaradnego człowieka. Włodek wydobył od niego tekst pisany prozą, przerobił ją na słuchowisko i nadał w radio. W ten sposób Swen otrzymał trochę pieniędzy. – Swen Czachorowski to wybitny poeta. Podczas okupacji stworzył wraz z Mironem Białoszewskim teatr, który nazwali „Swen” – powiedział Włodek – Teatr ten działał w konspiracji przez dwa

lata. Był podobnie awangardowy jak późniejszy Teatr na Tarczyńskiej Mirona Białoszewskiego - dokończył.

- Byłem w Teatrze na Tarczyńskiej w 1956 roku - odparłem - Teatr ten polecił nam, członkom STS-u nie kto inny tylko minister Kultury i Sztuki Włodzimierz Sokorski. I muszę przyznać, że byłem bardzo rozczarowany widząc Białoszewskiego z wymalowaną twarzą jak igra ze słowami, które nic nie znaczyły. Wzburzony po tym przedstawieniu, które było według mnie bezideowe i o nic nie walczyło napisałem do STS-monolog „Wróżka” zaczynający się od słów: - Abra kadabra! Ale aleje leje jeleń! - i dalej w tym stylu parodiowałem Białoszewskiego. Dziś przyznaję się, że nie poznałem się na jego oryginalnym talencie. Poznała się na nim zaś moja węgierska tłumaczka Gracja Kerenyi, która o Teatrze na Tarczyńskiej napisała pracę doktorską. - No, widzisz! Zdarza się! Ale parodia znakomita. Ale aleje leje jeleń- powtórzył ze śmiechem Włodek.

Chętnie nadawał w swoim Studio Współczesnym innego wybitnego poetę lingwistę, którego znał jeszcze z czasów poznańskich - Tymoteusza Karpowicza. Karpowicz przesyłał mu swoje słuchowiska z Wrocławia: - No, jaki ten Karpowicz jest? - pytałem. - Za długi, czowieku! Pomysł kapitalny. Ale rzecz strasznie przegadana! Na dwie godziny grania. Będę ją musiał w domu przyciąć - mówił wkładając tekst do teczki. - Odwieziesz

mnie? - spytał. - Jasne! - odparłem.

Jako nieliczny pracownik radia miałem swój samochód. Był to przedwojenny Citroen BL11, który kupiłem w 1959 roku podczas mojego pobytu we Francji. Miałem z nim mnóstwo kłopotów, bo ciągle się psuł i musiałem oddawać go do warsztatów naprawy. Najczęściej wysiadały mu przednie przeguby, które trzeba było wymieniać. Kosztowało mnie to kupę forsy, ale i przyjemność była duża. Mogłem zadawać szyku przed kolegami. Kiedy więc przyjeżdżałem do pracy swoim czarnym bolidem, jak żartobliwie nazywał ten wóz Zygmunt Hertz z paryskiej „Kultury”, to odwoziłem zawsze Włodka na Muranów, a potem jechałem do siebie na Żoliborz. Obydwaj zabieraliśmy teksty do zredagowania w domu, bo w radio w tym przeludnionym pokoju nie było do tego warunków. W związku z tym wywalczyliśmy u dyrektor Szenwaldowej prawo do późniejszego przychodzenia do pracy, bądź opuszczania niektórych dni. Przed naszym przyjściem do radia obowiązywała surowa lista obecności, którą podpisywało się po przyjeździe do pracy przy strażniku o ósmej godzinie rano. Pobyt w redakcji trwał do godziny 16-ej. Pełne osiem godzin. My przekonaliśmy Szenwaldową, że nie jesteśmy urzędnikami tylko pisarzami i rozliczani powinniśmy być z tego co napiszemy i zredagujemy, a nie z tego, że przesiedzimy w redakcji przykładnie osiem godzin od dzwonka do dzwonka. Alina Szenwaldowa, inteligentna kobieta widząc, że mamy rację przystała na tą niepisaną umowę. W ten sposób często

pracowaliśmy w domu, a w radio jeden drugiego zastępował. Jak Włodek był nieobecny, to ja załatwiałem jego interesantów.



Włodzimierz Odojewski, 1965 r., fot. arch. W. Odojewskiego

Byłem w lepszej sytuacji od niego, bo on pracował sam. Tylko przez krótki czas zatrudniony był na etacie Janusz Krasiński i Władysław Lech Terlecki. A w mojej redakcji urzędował przykładowie mój zastępca Andrzej Wiktor Piotrowski oraz

Jadwiga Płońska - i oni mnie zastępowali. Obydwoje byli świetnymi redaktorami i zajmowali się adaptacjami powieści na słuchowiska. Andrzej jako wielki erudyta i mól książkowy wynajdywał interesujące teksty, robił też znakomite faktomontaże. Zapamiętałem jego wstrząsający faktomontaż zrobiony w dwudziestą rocznicę Powstania w Getcie Warszawskim w 1943 roku. Andrzej wygrzebał ulotki i odezwy z tamtych czasów i wszystko to robiło duże wrażenie. Z czasem i oni nauczyli się przychodzić później do radia albo wręcz nie przychodzić - Jarosław! Czy pozwolisz, że ja jutro zostanę w domu, bo mam do zredagowania ważny tekst, a tu nie mam warunków!? - rzekł Piotr głęboko patrząc mi w oczy i gryząc wykałaczkę. Oczywiście zgodziłem się.

Jadwiga Płońska była rodowitą lwowianką i mieszkała we Lwowie do 1945 roku. W jej wymowie jednak nie było śladu lwowskiego akcentu. Była żoną starszego od siebie o wiele lat pułkownika Doriana Płońskiego, który zmarł przed paru laty. Miała z nim córkę Martę, kilkunastoletnią dziewczynkę. Jadzia były bardzo wesoła i towarzyska i przychodziło do niej do pokoju wiele przyjaciółek. Przede wszystkim Zofia Posmysz, która oprócz tego, że prowadziła redakcję „W Jezioranach” napisała świeżo słuchowisko „Pasażerka”, w którym wykorzystała swoje doświadczenia w Oświęcimiu, do którego trafiła jako młoda dziewczyna. Wkrótce „Pasażerka” przerobiona została na widowisko telewizyjne, a następnie według tego scenariusza

zaczął kręcić film młody i utalentowany reżyser Andrzej Munk. Nie zdążył jednak ukończyć filmu, bo zginął śmiercią tragiczną w katastrofie samochodowej w 1961 roku i „Pasażerkę” dokończył za niego jego przyjaciel reżyser Witold Lesiewicz. Po powstaniu filmu „Pasażerka” stała się głośna i zrobiła międzynarodową karierę. Zainteresował się nią radziecki kompozytor Mieczysław Weinberg, który według jej libretta stworzył operę graną do dziś na całym świecie. Do Jadzi przychodził też często młody Józef Hen. Znał świetnie jej męża Doriana Płońskiego, który był redaktorem naczelnym tygodnika „Żołnierz Polski”. W tym tygodniku Hen pracował. Z racji tej wizyty Jadzia dała mi do czytania jego świeżo wydaną książkę „Więzień i jasnowłosa”, która zrobiła na mnie duże wrażenie.

Czasem tym moim bolidem robiliśmy krótkie wypadki. Na przykład jechaliśmy do słynnej restauracji Berentowicza w Konstancinie na faszerowane kurczaki. Berentowicz służył z nich jeszcze przed wojną. Ledwie usiedliśmy przy stole, a pod restaurację zajechał taki sam jak mój citroen tylko większy BL15 i wysiadł z niego otyły starszy pan z siwą grzywą lwa podpierający się dwiema łaskami. Wywijając nimi dziarsko wmaszerował do środka: - Czowieku! - trącił mnie Włodek - Pacz! To Cat! Cat-Mackiewicz! Rzeczywiście był to on. Na jego powitanie wyszedł w kucharskim fartuchu właściciel restauracji Berentowicz i kłaniając się nisko powiedział: - Proszę bardzo, panie premierze. Do drugiej sali. Wszystko

przygotowane! - To świetnie, kochasiu! - pochwalił go Cat-Mackiewicz z wileńskim akcentem i pomaszerował do sali obok. - Jesteśmy w dobrym przedwojennym towarzystwie, panowie - stwierdził Andrzej Piotrowski, czyli Piotr albo Pietruszka jak go nazywaliśmy, i przypomniał, że w 1956 roku jak Cat-Mackiewicz przestał być premierem w Londynie i przyjechał do Polski, to w Gdańsku występował STS z „Agitką” i ktoś go przyprowadził na nasze przedstawienie. Cat przecierał oczy i nie wierzył, że taka wolność panuje w Polsce. Myślał, że to prowokacja i za chwilę będzie aresztowany - zachichotał Piotr.

Kelner przyniósł nam kurczaki i przystąpiliśmy do jedzenia. - No jak, panowie? - Cat-Mackiewicz wie co dobre. Ponoć jest wielkim smakoszem! - rzekł Piotr. - Wyśmienite! Czeba przyznać! - odparł Włodek i po tej przedwojennej uczcie kulinarnej w świetnych humorach wróciliśmy do domu.

Patrzymy na siebie

Jarosław Abramow-Newerly (*Toronto*)



Jarosław Abramow-Newerly (z prawej) z Włodzimierzem Odojewskim, który przyleciał do Toronto w 1995 r. odebrać nagrodę Fundacji Nelly i Władysława Turzańskich, fot. arch. autora

Fragment niepublikowanej nowej książki Jarosława Abramowa-Newerly'ego „Ich lwi pazur”.

Poznaliśmy się z Włodzimierzem Odojewskim pierwszego kwietnia 1960 roku w sam Prima Aprilis, kiedy razem zaczęliśmy pracować w radio na ulicy Myśliwieckiej, ale ja o nim słyszałem już dużo wcześniej od mojego Ojca Igora Newerlego, który z ramienia Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich

opiekował się młodymi pisarzami. W związku z tą funkcją dość często jeździł do Poznania na spotkania z tamtejszym Kołem Młodych Literatów i jak wracał opowiadał o tamtejszych kandydatach na pisarzy, o co ja gorliwie go wypytywałem.

Chodziłem wtedy jeszcze do szkoły, ale bardzo interesowałem się młodymi, którzy w przyszłości chcieli zostać pisarzami - To kto według ciebie najciekawiej się zapowiada? - dopytywałem się. Wówczas zazwyczaj padało nazwisko młodziutkiego Edwarda Bernsteina (późniejszego znanego reżysera filmowego Edwarda Żebrowskiego), Piotra Guzego i Włodzimierza Odojewskiego. - Jeśli chodzi o Odojewskiego, synu - mówił Ojciec - to jego proza wyróżnia się elegancją. Jest potoczysta, trochę poetycka i opisuje ludzi, głównie chłopów Łemków z okolic Leska niezwykle prawdziwie. Myślę, że Odojewski dojrzał już do druku i będę rekomendował jego najnowszą książkę „Opowieści leskie” w wydawnictwie „Czytelnik” - oświadczył. Zapamiętałem ten tytuł i kiedy książka wyszła z ciekawością ją przeczytałem. - Świetnie chłop pisze - przyznałem mu w duchu - ma dopiero dwadzieścia cztery lata i tyle wie o starości i przemijaniu. Zadziwiające - zadumałem się.

Kiedy więc przedstawił mi się dość sztywno w tym pokoju radiowym: - Odojewski jestem - i wyciągnął do mnie rękę, - Abramow - uścisnąłem ją szybko. - Miło mi. Wiele o panu

słyszałem od Ojca. Poza tym czytałem „Opowieści leskie”. Bardzo dobre – dodałem. – Hm – zamyślił się – Tak pan sądzi? Naprawdę się panu podobały? – spytał. – Naprawdę – odparłem – To się cieszę – rozpromienił się i cała sztywność z niego opadła. Patrzył na mnie swymi przenikliwymi skośnymi oczami poczem dodał: – Ja pana pamiętam jeszcze w krótkich spodenkach jak przyjeżdżałem do was do domu na Żoliborz do Ojca – zaśmiał się. „Tych krótkich spodękach” wymówił z nosowym „ę”, co od razu wychwyciłem. – To będziemy teraz razem pracować. Stół w stół – wskazał dwa biurka stojące pod oknem – Trzeba im się bardziej przyjrzeć – to „trzeba” wymówił jako „czeba” – i klepnął ręką w blat. – Które pan wybiera. To bardziej przy ścianie czy przy oknie? – spytał. – Wszystko mi jedno – odparłem. – „Jeżeli” tak, to ja wybiorę to przy oknie – zdecydował i usiadł za biurkiem w krześle.

W tym pokoju radiowym oprócz nas dwóch pracowała jeszcze Zofia Doroszowa i Jadwiga Płońska z mojej redakcji. Redakcja ta nazywała się wtedy Teatr Młodego Słuchacza. Bardzo nie lubiłem tej nazwy kojarzącej się z teatrem dla dzieci i jak tylko zostałem kierownikiem redakcji (dotychczasowa kierowniczką pani Zofia Doroszowa odeszła do telewizji), zaproponowałem nową nazwę Radiowy Teatr Młodych, co zostało przez kierownictwo radia zaakceptowane. W ogóle ten rok 1960, kiedy zaczynaliśmy razem pracę z Włodzimierzem Odojewskim można uznać za rewolucyjny. Ówczesny Prezes Komitetu do Spraw Radia

i Telewizji Włodzimierz Sokorski oraz jego zastępca Henryk Werner, zdecydowali, że czas odmłodzić kadry radiowe i postawić na młodych. Popierali ich w tym dyrektor programowy Polskiego Radia Stanisław Stampfl oraz długoletnia dyrektor Naczelnej Redakcji Literackiej Programu I i II Alina Szenwaldowa. Wszyscy oni byli stałymi bywalcami Studenckiego Teatru STS, chodzili na wszystkie jego premiery i myślę, że tej sympatii do STS-u zawdzięczałem moją posadę. Wkrótce udało mi się wprowadzić do mojej redakcji kolegę z STS-u Andrzeja Wiktora Piotrowskiego, wielkiego erudyty i ciekawego człowieka, męża Olgi Lipińskiej, który w radio pozostał już do końca życia. Umarł przedwcześnie na raka w 1996 roku.

Jeśli chodzi o Włodzimierza Odojewskiego to on też zaproponował nową nazwę - redakcja słuchowisk Studio Współczesne Teatru Polskiego Radia. Przedtem taka redakcja w ogóle nie istniała i on ją od podstaw stworzył. Starał się też, tak jak ja, wprowadzić do radia swoich z kolei przyjaciół, młodych prozaików tak, że wkrótce w jego redakcji zaczął pracować Janusz Krasiński i Władysław Lech Terlecki. Jak z tego opisu widać, nasz pokój radiowy był przepełniony, stało tam pięć biurek i jak przychodzili do pokoju zaproszeni goście, to żeby móc swobodnie porozmawiać schodziło się w podziemiach do radiowego bufetu, który był swoistą kawiarnią literacką. Już w parę dni po objęciu przez nas nowych posad w tym właśnie bufecie Włodzimierz Odojewski oświadczył uroczyście: - Jako

„czowiek” starszy od Pana proponuję wypić bruderszaft. Włodek jestem! - Jarek! - ucieszyłem się - Ten w krótkich „spodękach” - dodałem zaraz, przedrzeźniając go i wyściskaliśmy się z dubeltówki. W tym bufecie radiowym jedliśmy zazwyczaj obiad i spotykali bądź z zaproszonymi gośćmi, bądź z kolegami z innych redakcji. Kiedy w pokoju nie było czasu na zejście do bufetu zamawiało się u sprzątaczkki pani Zosi kawę „plujkę” albo herbatę ulung. Ona w rogu na korytarzu miała czajnik z wodą i swój mały, prywatny biznes.

Przed naszym przyjściem do radia było bardzo mało oryginalnych polskich słuchowisk. Tyle co wcale. Śmiałem się, że na przedwojennym słuchowisku „Zegarek” Jerzego Szaniawskiego napisanym bodajże w 1925 roku się skończyło. Powszechnie królowały adaptacje, to znaczy przeróbki książek na słuchowiska. Zajmował się tym redaktor Klemens Białek, bardzo godny pan w sile wieku, który przed przyjściem do radia pracował w ministerstwie Kultury i Sztuki i żartowano, że analiza wykazała ślady Białka oraz dwie przemile Zofie. Zofia Orszulska i Zofia Zawadzka. I chociaż była specjalna redakcja adaptacji radiowych obydwie Zofie siedziały przy biurkach w naszym pokoju. Zagęszczenie więc biurek było wielkie. Mała i skromna Zofia Zawadzka, która jak głosiła legenda, była bohaterską sanitariuszką podczas Powstania Warszawskiego, zwykle mało mówiła i w skupieniu czytała teksty, natomiast Zofia Orszulska, polonistka na tajnym Uniwersytecie Warszawskim i

również uczestniczka Powstania Warszawskiego mówiła chętnie i dużo. Słuchaliśmy z Włodkiem jej opowieści z dużą ciekawością. Od niej dowiedziałem się, że jej kolegą na tych tajnych kompletach był Stanisław Frybes, który wykładał u mnie na polonistyce i prowadził pierwszy inauguracyjny wykład na Uniwersytecie Warszawskim.

Jak już wspomniałem oryginalnych słuchowisk nie było i aby je zdobyć organizowane były konkursy radiowe. Najczęściej miały one rocznicowy charakter, ale myśmy się tym nie przejmowali i wspólnie z Włodkiem układali listę zaproszonych autorów. On wstawiał swoich przyjaciół poetów i prozaików, a ja swoich. Zachętą do pisania dla radia była duża zaliczka pieniężna, tak zwane vadium, które wynosiło 3000 złotych co równało się wówczas dwóm moim redaktorskim pensjom. W razie nie napisania słuchowiska trzeba było zwracać vadium, czego nikt nie chciał robić i teksty na konkurs napływały obficie. Dla mnie osobiście ten pierwszy konkurs był ważny, bo po raz pierwszy pisałem poważny tekst, a nie satyryczny skecz. Moje słuchowisko „Zasada” rozgrywało się podczas okupacji i współcześnie i dotyczyło sprawy głównego bohatera „Zasady” – taki był jego okupacyjny pseudonim. W jury zasiadali znani dramatopisarze i o tym, że na tym konkursie zdobyłem wyróżnienie zawiadomił mnie telefonicznie mój sąsiad z podwórka poeta i dramatopisarz Aleksander Maliszewski, który patronował mojej wczesnej twórczości.

To wyróżnienie bardzo mnie podbudowało, słuchowisko wyreżyserował świetnie Jan Świdorski, a w obsadzie znaleźli się młodziutki aktorzy Adrianna Godlewska i Krzysztof Kowalewski. I chociaż Włodek nie zdobył żadnej nagrody w tym konkursie, kiedy mu o tym powiedziałem radośnie wykrzyknął: - „Czowieku”! To wspaniała wiadomość. Bardzo się cieszę! - i bez cienia literackiej zawiści serdecznie mi pogratulował, co z wdzięcznością zapamiętałem. To słuchowisko miało swój dalszy ciąg. Wysłuchał je bowiem Tadeusz Kubalski, dyrektor Teatru imienia Bogusławskiego w Kaliszu i zaproponował mi, żebym je przerobił na sztukę teatralną. W ten sposób dzięki radiu znów trafiłem do teatru i świętowałem w 1962 roku prapremierę „Zasady” w Kaliszu w reżyserii Zbigniewa Besserta.

Ten początek radiowej znajomości, która bardzo szybko zmieniła się w trwałą przyjaźń sprawił, że Włodek Odojewski stał się dla mnie najbliższym doradcą literackim, z którego zdaniem niezwykle się liczyłem. A miał olbrzymią kulturę literacką, świetny smak i wielki talent redaktorski. Robił w tekście znakomite skróty i poddawał ciekawe pomysły. Pod jego przyjaznym okiem dojrzywałem jako autor słuchowisk radiowych i sztuk teatralnych. Ja z kolei odwdzięczałem mu się swoimi uwagami o jego tekstach, które dawał mi do czytania. Był rasowym prozaikiem, ze świetnym warsztatem literackim, który po mistrzowsku operował strumieniem świadomości i przestawienie się na dramaturgię, zwłaszcza na początku pracy

w radio, przychodziło mu z trudem. Dialog pisany różni się od dialogu mówionego i trzeba się go po prostu nauczyć. Ja pod tym względem miałem większe doświadczenie zdobyte w STS-ie i chętnie udzielałem mu rad, które z wdzięcznością przyjmował. Był bardzo pojętym uczniem i szybko z prozaika wyrósł na radiowego dramaturga. Jest inna sprawa, że jego teksty były bardzo finezyjne i wymagały wyśmienitego aktorstwa. Przykładem było jego słuchowisko „Patrzmy na siebie”. Zostało przesłane do Teatru Polskiego Radia, który mieścił się w drugiej części gmachu i zrealizowane. Obydwaj uczestniczyliśmy w tym przesłuchaniu i byliśmy przerażeni – Nudy na pudy. Zamordowali mi tekst. To „Paczmy na siebie” nie do słuchania! – stwierdził zgnębiony Włodek. – Zgadzam się. Nic z twojego tekstu nie zostało. Okropne – przyznałem.

Przysłuchiwał się temu Jurek Markuszewski, już wtedy dyrektor Teatru Polskiego Radia, i rzucił: – Dobra, panowie. W takim razie nagramy to jeszcze raz. W nowej obsadzie, proponuję. Zgodziliśmy się z ulgą. Jurek sam to wyreżyserował, a do studia zaprosił Alinę Janowską i Edwarda Dziewońskiego. Oni teraz patrzyli na siebie i ten małżeński dialog między sobą prowadzili. I nagle tekst zaczął błyszczeć, dialog iskrzył się humorem, nie było cienia nudy i żałowaliśmy, że wszystko tak szybko się skończyło. Trudno było uwierzyć, że to ten sam tekst. Tak, że była to dla nas wielka lekcja radiowa.

Druga część ukaze się w piątek 3 stycznia 2020 r.

Zmarł Andrzej
Pawłowski -
mój wyśmienity
przyjaciół.



Andrzej Pawłowski w swojej pracowni.

Jarosław Abramow-Newerly

Taką ilością talentów jaką obdarzony był Andrzej Pawłowski spotyka się bardzo rzadko. Ja przynajmniej nie znałem drugiego takiego człowieka. Z zawodu lekarz i naukowiec, z zamiłowania rzeźbiarz, pisarz i kolekcjoner sztuki. Jako lekarz już w Polsce cieszył się opinią jednego z najzdolniejszych młodych dermatologów i to zarówno praktyków jak i pracowników naukowych. Właśnie miał zostać docentem Akademii Medycznej w Warszawie kiedy w 1971 roku wraz z żoną Danutą, również lekarzem, zdecydowali się na wyjazd z Polski. Najpierw znaleźli się w Anglii, gdzie przyszła na świat Ich córka Sonia, a potem

przyjechali do Kanady. Po bardzo trudnym okresie nostryfikacji dyplomów otworzyli prywatną praktykę lekarską w polskiej dzielnicy w Toronto. Przez Ich gabinety przy ulicy Roncesvalles przewinęło się mnóstwo pacjentów. Wśród nich znalazłem się i ja. Danusia była moją lekarką rodzinną, a Andrzej dbał o moją skórę. Między innymi usunął mi z nosa tak zwane błękitne znamię. – Po co Ci to nosić. Przyjdź do mego gabinetu, wytniemy je i spokój. Po co czekać aż się przerodzi w melanomę – powiedział.

Podczas zabiegu podziwiałem zręczność Jego rąk. Zoperował to perfekcyjnie. Do dziś nie mam śladu na nosie. Andrzej był wybitnym znawcą melanomy, prowadził nad nią badania naukowe, wykładał na Uniwersytecie i ogłosił wiele cennych prac z tego zakresu. Niedawno nie bez satysfakcji przyznał mi się, że właśnie znajomy dermatolog powiedział Mu, że ich praca naukowa, którą kiedyś razem pisali wciąż jest aktualna i często cytowana. Każdemu by takie sukcesy wystarczyły, tylko nie Andrzejowi. Czuł w sobie siły twórcze. Po godzinach pracy pisał i rzeźbił. Zawsze interesował się sztuką i artystami, zwłaszcza polskimi. Chodził na wszystkie ich wystawy, kolekcjonował obrazy i zamieszczał swoje recenzje w „Związkowcu” i „Głosie Polskim”.



Jarosław Abramow-Newerly, fot. Maya Fołtyn.

Na jednym z takich wernisaży poznał rzeźbiarza Edwarda Koniuszego i zachwycił się jego rzeźbami w drzewie i kamieniu. Napisał o nim entuzjastyczną recenzję. Kiedy się bliżej poznali Andrzej przyznał się, że też w domu trochę rzeźbi i pokazał mu swoje amatorskie próbki. Koniuszy przychylnie je ocenił i zaproponował Andrzejowi, że może Go uczyć rzeźby, na co Andrzej z radością przystał. Okazał się bardzo pojętym uczniem i tak oto Koniuszy uczynił z Niego zawodowego rzeźbiarza. W 1985 roku Andrzej wstąpił do „Sculptors Society of Canada” (SSC) i „Polsko Amerykańskiego Towarzystwa

Artystów” (PAAS), a w latach 1992-1994 był nawet prezesem Kanadyjskiego Towarzystwa Rzeźbiarskiego (SSC). W siedzibie tego Towarzystwa miał wiele wystaw indywidualnych i zbiorowych. Za swoje oryginalne prace łączące w sobie kamień, drzewo i różne przedmioty użytkowe zdobywał liczne nagrody. Przyjaźń z Koniuszym zaowocowała książką Andrzeja „Edward Koniuszy - The Sculptor” . Po śmierci Koniuszego Andrzej opiekował się jego żoną, aż do chwili jej zgonu w zeszłym roku. Był zawsze niezwykle wierny w przyjaźni i prawdziwą przyjaźń cenił najwyżej.

Nigdy nie zapomnę, że jak tylko przyjechaliśmy do Toronto w 1985 roku z Wandzią i naszą małą Marysią, to właśnie w domu Pawłowskich odbył się mój wieczór autorski. Andrzej zaprosił wiele znaczących osób. Wśród gości na honorowym miejscu siedział Jego Ojciec, inżynier Julian Pawłowski. Człowiek nieprzeciętny. Dożył rekordowego wieku stu dwóch lat. Na swoje stulecie sprawił sobie jasny garnitur i kazał koniecznie kupić biały, jedwabny krawat. Tego białego krawata Andrzej szukał w sklepach po całym Toronto. Kiedy redagowałem „Związkowca” wprowadziłem w nim rubrykę „Jak dożyć stu lat - seniorzy udzielają rad”. Pan Julian udzielił zaskakującej rady. Nie mówił o zdrowym odżywianiu czy potrzebie ruchu, tylko powiedział, że najważniejszą rzeczą w długim życiu jest mieć czyste sumienie. Wtedy śpi się spokojnie. Mądrość tej rady oceniłem dopiero z czasem.



Rzeźba autorstwa Andrzeja Pawłowskiego.

Andrzej od dawna interesował się polską dzielnicą, w której jako lekarz pracował. I tak powstała w 1993 roku w dwóch językach po polsku i po angielsku „The saga Roncesvalles” - dziś bezcenne źródło informacji o polskich sklepach i instytucjach w Toronto w drugiej połowie ubiegłego stulecia. W tym samym mniej więcej czasie zainteresował się studiami nad włoskim

poetą Dantem. Włochy i sztuka włoska zawsze Go interesowały. Powstał z tego dramat „Dante na stopniach nieśmiertelności” (1995), który w wersji angielskiej był zagrany w teatrze Uniwersytetu London Ontario. Byłem na tej premierze. Sugestywna gra aktorów ujawniła ponadczasowy i uniwersalny język pisarstwa Andrzeja, Jego prawdziwy kunszt. W późniejszych latach Andrzej związał się z wydawnictwem Adam Marszałek w Toruniu i w tym Wydawnictwie ukazało się wiele Jego książek. „Pochylony nad Łokietkiem - opowieść historyczna urealniona” (2004), do której wstęp napisał profesor Henryk Samsonowicz, który bardzo wysoko ją ocenił. Następne książki Andrzeja to „Zatrzymać cień Boga” (2005), „Śmierć Hermesa”, (2010), „Skazani wyobraźnią” (2012), „Anielski Bessarion” (2014), wreszcie „Kardynał od Świętego Anioła” (2017). Każda z nich wymagała żmudnych studiów historycznych. Andrzej szperał po bibliotekach, sięgał do łacińskich oryginałów, studiował „Kronikę Długosza”. Nie przesadzę jeśli powiem, że zdobył profesorską wiedzę. Nic dziwnego, że Jego książki omawiane były na seminariach ze studentami na przykład na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Łódzkiego.

Jak już wspomniałem Andrzej posiadał niezwykły dar przyjaźni, stawiał też swym przyjaciółom wysokie wymagania. Musieli to być ludzie twórczy, których prace cenił. Najczęściej artyści plastycy. Ale nie tylko. Utrzymywał żywy kontakt z kolegami ze

szkoły „Batorego” w Warszawie i był zawsze dumny, że ją ukończył w 1951 roku. Z wdzięcznością wspominał swoich szkolnych profesorów. – Na przykład Marian Dowiat, historyk! – mówił – Wyśmienity profesor! Wyśmienity! – podkreślał. Ta zdolność zachwytu nad ludźmi, których prawdziwie cenił była jeszcze jedną Jego wspaniałą cechą. Zwykł wtedy używać rzadkiego słowa „wyśmienity”, które dziś zastąpił angielski wyraz „super”.



Wystawa prac Andrzeja Pawłowskiego i Wiktora Zajkowskiego-Gad, fot. Maya Fołtyn.



Wystawa prac Andrzeja Pawłowskiego i Wiktora Zajkowskiego-Gad, fot. Maya Fołtyn.

Andrzej niezwykle dbał o polszczyznę zarówno w mowie jak i w piśmie. To właśnie temu ukochanemu Liceum podarował rzeźbę króla Stefana Batorego, a do biblioteki szkolnej przesłał swoją książkę „Złoto Batorego”. Pojechał też na obchody stulecia powstania Liceum, które przypadły we wrześniu 2018 roku. Spotkał się tam ze starymi „batorakami” i nie przypuszczał, że widzi ich po raz ostatni. Choroba nowotworowa zaskoczyła Go w pełni sił twórczych. Właśnie ukończył książkę „Dolina wyschniętej rzeki”. Zbiór krótkich opowiadań o ludziach ważnych, których spotkał w życiu. – W gruncie rzeczy jest to rzecz o przyjaźni! – mówił – gdyśmy spacerowali z naszymi psami pobliską rawiną. Właśnie ta rawina nasunęła Mu pomysł tytułu

książki. U Andrzeja wszystko przetwarzało się twórczo. Nawet ten nasz spacer z psami. Książka ukazała się w Wydawnictwie Adam Marszałek. Andrzej przywiązywał do niej wielką wagę. Sam zaprojektował okładkę. Z niecierpliwością czekał na jej nadejście. Wydawnictwo zapewniało, że ją wysłało. – To skandal!

Dlaczego nie przychodzi!?! Chcę przed śmiercią ją dotknąć! Nacieszyć wzrok! Czy oni tego nie rozumieją!?! – denerwował się – Wiesz – podjął po chwili – Mnie się wydaje, że to nie ja odchodzę, tylko świat ode mnie się oddala.



Odchodził z zadziwiającym męstwem w pełnej świadomości śmiertelnej choroby. W końcu był lekarzem. Przed śmiercią domagał się przyjscia przyjaciół i rodziny. Chciał się z nimi pożegnać. Otoczony był niezwykłą opieką żony Danuty, z którą przeżył blisko pięćdziesiąt lat i córek Moniki i Soni. Były też wnuki Andrzeja - Ola i Karolina oraz Tristan i Julian. To imię Julian odziedziczył oczywiście po swoim pradziadku. Andrzej bardzo dbał o tradycję rodzinną. Jestem pewien, że Jego wnuki do końca życia zapamiętają swojego niezwykłego Dziadka.

Przed śmiercią Andrzej słuchał muzyki Chopina i Rachmaninowa, głaskał swoją czarną jamniczkę Manię, która wiernie czuwała na Jego łóżku i oglądał satyryczne grafiki, które specjalnie dla Niego rysował Jego przyjaciel Wiktor Gad Zajkowski. - Wyśmienite rysunki - szeptał - Wyśmienite...

Odszedł spokojnie w piątek 11 stycznia 2019 roku w swoim mieszkaniu pełnym obrazów i własnych rzeźb. Podczas ceremonii pożegnalnej świetny malarz Tadeusz Biernot, który specjalnie przyjechał z Hamiltonu, żeby pożegnać Andrzeja, powiedział mi ze wzruszeniem: - Powiem Ci Jarku, że w życiu nie spotkałem człowieka, który by tak dokładnie umiał zaplanować swój czas. Wykorzystywał dosłownie każdą minutę. Dlatego mógł tyle stworzyć.

A stworzył naprawdę wiele. Czas to właściwie oceni. Pozostaną po Nim rzeźby przestrzenne w ośrodku rzeźbiarskim w Orońsku i Szydłowcu oraz mądre i ciekawe książki. W tym ta ostatnia, której wydania już nie doczekał. Ja zaś z chwilą śmierci Andrzeja straciłem najbliższego przyjaciela, wyśmienitego rzeźbiarza, który głęboko wrył się w moje serce. Bardzo mi Ciebie będzie brak, Andrzeju. Bardzo, bardzo.

O Andrzeju Pawłowski:

Zatrzymać cień. Andrzej Pawłowski.